№ 38

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

ŚRODA 18 MAJA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1836.

WAZON ETRUSKI.

Powieść Prospera Mérimée.

(Dokończenie.)

— Co ci to dzisiaj, Auguście? — spytała Matylda. — Jesteś tak nadzwyczajnie wesoły, a jednak nie możesz mnie rozśmieszyć swojemi żartami. Wczoraj byłeś nieco kwaśny, a ja za to tak byłam wesołą! Dzisiaj zmieniliśmy role. Mnie okropnie głowa boli.

— Przyznaję, piękne moje kochanie, że wczoraj bardzo byłem nudny. Lecz dzisiaj dużo jeździłem konno: jestem zdrów i wesół jak już dawno nie byłem.

— Co ja, to bardzo późno wstałam; spałam z długo i utrudzające sny mnie dręczyły.

— Ah! sny? Czy wierzysz w sny?

— Co-za dzieciństwo!

— Ja zaś w nie wierzę. Pewny jestem, że miałaś sen zwiastujący jaki smutny wypadek.

— Ah! ja nigdy snów moich spamiętać nie mogę. Jednak sobie przypominam...... widziałam we śnie Massignego; sam więc osądź, że to nic zabawnego nie było.

— Massignego! A jabym sądził, że wielką musiałaś mieć przyjemność zobaczyć go znowu?

— Biedny Massigny!

— Biedny Massigny?

— Auguście! zaklinam cię, powiedz, co ci jest dzisiaj. Jest coś szatańskiego w twoim uśmiechu. Zdaje się, jakobyś sam chciał siebie wyszydzać.

— Otóż i ty zaczynasz się tak źle ze mną obchodzić, jak owe stare jejmoście, twoje przyjaciółki.

— Tak jest, Auguście, taką dzisiaj masz właśnie twarz, jaką przybierać zwykłeś z osobami, których nie kochasz.

— Niedobra! no, dajże mi *rączkę*. — I pocałował ją w rękę z ironiczną grzecznością, i przez minutę spoglądali wzajemnie na siebie. Saint-Clair pierwszy spuścił oczy i zawołał: »Jakże trudno żyć na tym świecie i nie uchodzić za złego. Trzebaby chyba zawsze mówić tylko o pogodzie lub polowaniu, albo roztrząsać z twojemi staremi przyjaciółkami budżet ich Komitetu Dobroczynności.«

Wziął papier leżący na stoliczku: — »Patrzaj, oto rejestr twojej szwaczki. Pogadajmy o nim, moje kochanie, wtedy przecie może nie powiesz, że zły jestem.«

— Prawdziwie, Auguście, ty mnie zadziwiasz......

— Ta ortografija przypomina mi bilecik, który znalazłem dziś rano. Musisz wiedzieć, żem uporządkował moje papiery, bo i ja kiedy niekiedy bywam porządnym. Otóż znalazłem liścik miłosny, który napisała do mnie pewna modniarka, w której się kochałem, kiedy miałem lat szesnaście. Ma właści-

wy sobie sposób pisania każdego słowa, a zawsze jak najzawilszy. Styl jej godzien jest pisowni. A że ja wtedy byłem nieco zarozumiały o sobie, zdawało mi się, że to mnie nie jest godnem, mieć kochankę, coby tak nie pisała, jak Sevigné. Nagle ją porzuciłem. Dzisiaj, odczytawszy ten liścik, przekonałem się, że owa modniarka prawdziwie mnie kochać musiała.

— Tak! kobieta, którą wspierałeś.....?

— Bardzo wspaniale: piędziesiąt franków miesięcznie. Lecz opiekun nie zbyt wielką wyznaczył mi pensyję, gdyż mówił, że młody człowiek, co ma pieniądze, i siebie i innych gubi.

— A ta kobieta, cóż się z nią stało?

— Albož ja wiem...? Najpewniej, że musiała umrzeć z nędzy.

— Auguście....., gdyby to było prawdą, nie miałbyś tak o nie niedbającej miny.

— Jeźli mam prawdę powiedzieć, poszła za poczciwego człowieka, a gdy wyszedłem z pod opieki, dałem jej maleńki posażek.

— Jakże ty jesteś dobry....! Lecz dla czegóż chcesz uchodzić za złego?

— Oh! jestem nadzwyczajnie dobry..... Im więcej się nad tem zastanawiam, tem bardziej przekonywam się, że ta kobieta rzeczywiście mnie kochała..... Lecz wówczas nie umiałem rozpoznać prawdziwego uczucia pod śmiesznym pozorem.

— Powinieneś był przynieść mi ten liścik. Nie byłabym zazdrośną..... My kobiety daleko więcej mamy taktu, niżeli Waćpanowie, i zaraz poznajemy ze stylu jakowego listu, czyli autor jego szczerze mówi, lub czy udaje miłość, której bynajmniej nie czuje.

— A jednak, jakże często dajecie się usidlić głupcom lub pustakom!

To mówiąc patrzał na wazon etruski, a w oczach jego i głosie zgubny przebijał się wyraz, którego jednak Matylda nie postrzegła.

— Ah! wy wszyscy mężczyzni chcecie uchodzić za Don Żuanów. Myślicie, że wystrychniecie na dudków, a tymczasem napotykacie daleko przebieglejsze Dony Żuanny.

— Pojmuję, że z wzniosłym waszym dowcipem, Moście Panie, zwąchacie głupca choćby o milę. Ani też wątpię, iż nasz przyjaciel Massigny, który był zarazem i głupim i zarozumiałym, nigdy serca żadnej kobiety nie umiał pozyskać.

— Massigny? Ależ on nie był przecie tak głupi; a potem, czyż to nie mamy także głupich kobiet? Muszę ci coś opowiedzieć o Massignym..... Ale możem ci to już opowiadała? powiedz?

— Nigdy, — odpowiedział Saint-Clair drżącym głosem.

— Massigny, powróciwszy z Włoch, rozkochał się we mnie. Mąż mój znał go; przedstawił mi go, jako człowieka pełnego gustu i dowcipu. Obaj byli dla siebie stworzeni. Massigny z razu wielkie około mnie czynił zabiegi; dawał mi, niby-to własną ręką robione, akwarelle kupowane u Schrotha, i mówił przede mną o muzyce i malarstwie z tonem wyższości, prawdziwie pociesznym. Pewnego dnia przysłał mi list nieporównany. Mówił w nim, między innemi, że byłam najuczciwszą kobietą w całym Paryżu, i że dla tego pragnie być moim kochankiem. Pokazałam ten list mojej kuzynce Julii. Byłyśmy wówczas dwie puste głowy, i postanowiłyśmy wypłatać mu figla. Pewnego wieczora było u nas kilka osób, a między nimi i Massigny. Julija do nas rzekła: »Przeczytam wam wyznanie miłości, które dzisiaj odebrałam.« Bierze list Massignego i czyta go wśród najgłośniejszych wybuchów śmiechu..... Biedny Massigny....!

Saint-Clair upadł jej do nóg, wydając krzyk radośny. Pochwycił rękę Hrabiny, okrył ją pocałunkami i łzami. Matylda zrazu nadzwyczajnie zadziwiona, pomyślała, że zachorował. August te tylko słowa mógł wymówić: »Wybacz mi! wybacz mi!« Powstał nakoniec promieniejący szczęściem. W tej chwili szczęśliwszy był, niż kiedy Matylda pierwszy raz mu powiedziała: »Kocham cię!«

— Jestem najszaleńszy i najwystępniejszy ze wszystkich ludzi, — zawołał; — od dwóch dni posądzałem cię..... a nie starałem się o wyjaśnienie.....

— Posądzałeś mnie....! A o co....?

— Ah! jestem prawdziwy nędznik...! Powiedziano mi, żeś kochała Massignego, i....

— Massignego? — i śmiać się głośno zaczęła; potem nagle wracając do zwykłej powagi, — mógłżeś być tyle szalonym przypuszczać takowe podejrzenie, i tak wielkim hipokratą, aby to ukrywać przede mną? — Łza zabłysła w jej oku.

— Zaklinam cię, wybacz mi.

— Jakżebym ci nie miała przebaczyć, najdroższy...? Lecz naprzód pozwól, abym przysięgła.....

— Ach! wierzę ci! wierzę! nie mów już ani słowa.

— Ależ na imię Bozkie, cóż ci mogło dać powód, posądzać mnie o rzecz tak do prawdy niepodobną?

— Nic, nic w świecie, tylko przeklęta moja głowa...... i...... i ten wazon etruski; wiedziałem, że ci go podarował Massigny....

Hrabina załamała ręce z podziwieniem, potem zawołała, śmiejąc się do rozpuku: »Mój wazon etruski! mój wazon etruski!«

August sam się nie mógł wstrzymać od śmiechu, a jednakże rzęsiste łzy spływały po jego policzkach. Pochwycił Matyldę, i przyciskając do serca, rzekł: »Nie puszczę cię, dopóki mi nie przebaczysz....!

— Przebaczam ci, ty prawdziwy waryjacie, — odpowiedziała ściskając go najczulej. — Zbyt mnie dzisiaj uczyniłaś szczęśliwą; pierwszy raz widzę cię płaczącym, a myślałam, że nigdy nie płaczesz.

Potem, wydarłszy się z rąk jego, porwała wazon etruski, i na tysiączne kawałki roztrzaskała go o podłogę. (Była-to rzadka i szacowna sztuka. Można było na nim widzieć odmalowaną w trzech kolorach walkę dwóch Centaurów.)

Saint-Clair był przez kilka godzin najszczęśliwszym i najbardziej zawstydzonym ze wszystkich ludzi.

. . . .

— A co, — rzekł Roquantin do Pułkownika Beaujeu, którego wieczorem spotkał u Tortoniego, — nowina ta jest-że prawdziwą?

— Zbyt prawdziwą, mój kochany, — odpowiedział smutnie Beaujeu.

— Opowiedzże mi, jak się to stało.

— Chętnie. Saint Clair zaczął od opowiadania mi, że zbłądził, lecz, że pierwej chce sprobować ognia Alfonsa, niżeli go przeprosi. Pochwaliłem jego zamiar. Thémines chciał, ażeby los wyrokował, kto pierwszy ma strzelić. Saint-Clair żądał koniecznie, żeby Alfons zaczął. Alfons strzelił; widziałem, jak Saint-Clair raz się na około siebie okręcił i padł trupem na miejscu. Uważałem już u wielu żołnierzy, śmiertelnie ugodzonych ognistą bronią, to osobliwsze kręcenie się, śmierć poprzedzające.

— To rzecz prawdziwie nadzwyczajna, — rzekł Roquantin. — A cóż zrobił Alfons?

— Oh! to, co wypada uczynić w podobnem zdarzeniu. Z żalem rzucił pistolet o ziemię. Rzucił go tak mocno, iż się zamek roztrzaskał. Był to pistolet angielski, Mantona; nie wiem, czy znajdzie w całym Paryżu puskarza, coby mu tak dobry zrobić potrafił. . . . .

. . . .

Hrabina przez trzy lata nikogo widzieć nawet nie chciała; zimą i latem mieszkała w wiejskim swoim domku, wychodząc zaledwie ze swego pokoju, nie przemawiając i dwóch słów przez dzień cały, do jedynej służącej, która wiedziała o jej stosunkach z Saint-Clairem. Po trzech latach, kuzynka jej Julija z długiej wróciła podróży; weszła gwałtem pomimo zakazu, i zastała Matyldę tak wychudłą i bladą, iż mniemała widzieć trupa owej kobiety, którą zostawiła tak piękną i pełną życia. Z trudnością zdołała wydrzeć ją z jej samotni, i zawieźć na wyspy Hyerskie. Hrabina przewlokła tam jeszcze trzy miesiące dogorywającego życia, i umarła na słabość piersiową, zrządzoną przez domowe zmartwienia, jak mówił Doktor M**, udzielający jej starań swoich.

KARNAWAŁ W RZYMIE.

Najbardziej zastanawia każdego cudzoziemca, który zaczyna zwiedzać towarzystwa w Rzymie, że tam żadnej nie widzi różnicy, zasadzadzającej się na urzędach i urodzeniu. Zachowanie tych ustaw i przepisów, którym się trzeba poddać w każdej prawie stolicy, nie ma tu miejsca i nie jest potrzebne. Po wielkich domach włoskich, po domach bogatych cudzoziemców i Posłów zagranicznych, nie zachowują bardzo, nawet względem cudzoziemców, którzy są

pod ich protekcyją, lub takich, co im są poleceni przez listy, tych arystokratycznych pretensyj, które rozciągają tak smutną i męczącą monotoniję w innych salonach Europy. Przymus etykiety nie jest tu znany; stosunki towarzyskie mają tę łatwość, ten wdzięk, jakiego próżno gdzieindziej szukać będziemy.

Noce, poświęcone na fety karnawałowe, upływają wśród zabaw najbardziej urozmaiconych, którym, prosto i bezpiecznie oddać się można, bez bojaźni uchybienia przesądom dobrego tonu.

Fety te zwabiają całą publiczność, wszystko się tłumem wali, i ogromne pałace po sześć i ośm wielkich sal oddając do dyspozycyi, ledwo pomieścić mogą wszystkich.

Nikt nie siedzi, chyba czasem w sali od tańca; wszystko w ciągłym jest ruchu. . . . .

Domy do zabaw są bogate i świetne, a nic nie ma tak wspaniałego, jak pałac *Torlonia*; nie można sobie wyobrazić pyszniejszego widoku nad ten, jaki wystawia galeryja, gdzie dają koncerta, kiedy niezliczone mnóztwo świec objaśni piękne obrazy, malowane na ścianach *à fresques*, i różne posągi, pomiędzy któremi kolosalnej postaci Herkules, dłuta Kanowy, zdaje się ciskać srogą ręką nieszczęśliwego Lykasa przez głowy całego zgromadzenia, które nadstawia z uwagą ucha na pierwsze talenta stolicy.

Damy rzymskie zadziwiający zbytek okazują w swoich ubiorach; nie uważając bynajmniej na przepisy mody, idą w ułożeniu swej toalety za kaprysem swego gustu i swojej wyobraźni, co im się nierównie lepiej udaje, jak wszystkim prawie cudzoziemkom.

Między zabawami karnawałowemi bywają niektóre sławne bale maskowe u Lordów i Książąt zagranicznych, ale wszyscy, którzy tam nie należą, mają festyny w wielkim teatrze *Aliberti*, i tam-to można widzieć ten obraz prawdziwej pustoty i głośnej wesołości, jaką odznaczać się powinien każdy bal maskowy.

Na takich-to festynach najlepiej można się przekonać, że w żadnem na świecie mieście nie ma tyle pięknych kobiet, co w Rzymie. Wdzięki najpiękniejszych cudzoziemek zgasnąć muszą przed tą postacią wspaniałą, przed ognistym blaskiem spojrzenia, przed tym ubiorem eleganckim i szlachetnym, tym wyrazem twarzy czułym i przenikliwym, który tak odznacza piękności rzymskie. Na tych festynach, więcej jak na *Corso*, składają mężczyzni hołd płci pięknej, a ujmująca żywość Rzymian najbardziej się wydaje w oświadczeniach miłosnych.

Niemiec albo Francuz, wrażenie, które na nim zdziałał widok pięknej osoby, wydaje przez spojrzenia, a jeżli okoliczność dozwoli, przez jakąś uprzedzającą grzeczność z szacunkiem. Rzymianin nie zadaje sobie tyle pracy. Jego wyobraźnia ognista, upojona wdziękami piękności, nie może się utrzymać w granicach niemego podziwienia, i w błahej i zimnej grzeczności. Jak tylko znakomita jaka piękność ukaże się w loży parterowej, natychmiast wszystko jest w poruszeniu. Poeci z gitarami śpiewają wiersze na jej pochwałę. Malarze proszą o pozwolenie zrobienia jej portretu. Nie jeden Markiz zatrzymuje się przed jej lożą, aby się dać słyszeć z przewyborną *canzonetto*. Dumna Rzymianka przyjmuje ten hołd z wielkim wdziękiem, i rzuca wzrok zadowolenia na swych wielbicieli, których liczba coraz się powiększa. Później nadchodzi *Conte*; przemawia naprzód do zgromadzenia, przesadza w pochwałach korzyści świetnego swego pochodzenia. Mówi z zapałem o wspaniałych uczuciach, jakiemi powinien być przejęty każdy Rzymianin, pomnąc na dzieła swych przodków. Potem skacze porywczo na krzesło, i obracając się do pięknej Rzymianki, przysięga, że ona jest godnym potomkiem największego narodu w świecie, że jest zaszczytem swego kraju; błaga niebios, aby mu wydarzyły okazyję zatwierdzić krwią własną rzeczywistość swego wyznania, chciałby, jak drugi Kokles, bronić ją przeciw całej armii i wyrwać z pomiędzy płomieni, a nakoniec w najgwałtowniejszych poruszeniach swego uniesienia, w chwili, gdy oświadcza, jakby był szczęśliwym, gdyby mógł umrzeć dla niej, jak Kurcyjusz, i rzucić się w przepaść dla jej ocalenia, nieszczęściem, krzesło się łamie, i zachwycony mówca, pada pod nogi swej heroiny! Huczne śmiechy napełniają wówczas salę, tłum się rozstępuje, a nowe zjawiska nowe wydają sceny. Nie można sobie wystawić, jak ten naród jest zręczny, zrobić przedmiot żartu z najmniejszej fraszki; takowe festyny są prawdziwą komedyją.

(Dokończenie nastąpi.)